N° 2.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.



Warszawa, dnia 2 (14) Stycznia 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, w *Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

OGRZEWANIE MIESZKAŃ.

Światło i ciepło, dwa potężne czynniki w przyrodzie, stanowiące konieczne warunki życia organicznego, są bez wszelkiéj wątpliwości niezbędnemi i dla naszego życia. Słońce dostarczające głównie obydwóch tych czynników, udzielając prawie jednakowo światła dla całéj ziemi,—bardzo niejednostajnie obdarza ciepłem. W naszym klimacie zmuszonym jest człowiek wytwarzać sobie sztuczną, ciepłą atmosferę; ogrzewa swoję siedzibę, budując najrozmaitsze ogniska. Wielkie zaiste ma znaczenie dla człowieka ognisko domowe, w przenośném znaczeniu, jako zbiór wszystkich warunków życia rodzinnego; lecz i w zwyczajném pojęciu, jako źródło ciepła naszych mieszkań, zasługuje na baczną uwagę. Jeżeli nie jest urządzoném odpowiednio, zamiast zdrowia, może sprowadzić choroby; a nawet, niestety, liczne ofiary zagorzenia każdéj zimy nagłą śmiercią, stwierdzają konieczność czujnéj baczności nad ogrzewaniem mieszkań.

Jakikolwiek będzie użyty sposób ogrzewania mieszkań, spełnia on główne zadania, to jest: zadosyć czyni dwóm koniecznym warunkom życia naszego organicznego: dostarcza ciepła, — a powtóre, przyczynia się z dzielną skutecznością do przewietrzania mieszkania. Podczas palenia, koniecznie powstaje ciąg powietrza. To które znajduje się w mieszkaniu uchodzi na zewnątrz, a świeże z zewnątrz wszystkiemi szczelinami napływa. Dosyć będzie nadmienić, że powietrze w przestrzeni zamkniętéj, zwłaszcza takiéj w któréj wiele osób przebywa, skutkiem oddychania samego zostaje zużyte, to jest pozbawione znacznego stosunku tlenu, téj części składowéj powietrza, która jest niezbędną do życia. Wprawdzie i w nieopalanych mieszkaniach, przewietrzanie koniecznie musi miéć miejsce, lecz jest ono bardzo niedostateczne, a zwłaszcza gdy nastąpi silniejsze zimno, dla którego troskliwiéj zamykane są drzwi i okna. Niedostateczne przewietrzanie pociąga za sobą rozmaite chorobliwe następstwa.

Najprostszy sposób ogrzewania mieszkania, jest palenie na kominkach, na których roznieconу ogień nietylko dostarcza nieco światła, lecz natychmiast wydziela ciepło, przyczem obszernym swym otworem silnie wpływa na przewietrzenie; najzupełniéj więc zadosyć czyni koniecznym warunkom ogrzewania. Lecz niestety, użycie kominka dostępném jest tylko w niektórych okolicach, gdzie wartość opału jest bardzo mała; ilość bowiem dostarczonego ciepła, odpowiednio do spotrzebowanego drzewa, jest stosunkowo bardzo mała; kominek grzeje tak długo, jak długo pali się ogień. Przy ulepszonéj nawet budowie kominka, zbliżającéj go do pieca pod względem urządzenia, niemniéj jest zbytkiem arcymiłym i zdrowym, ale zanadto kosztownym.



Kościół Karmelitanek w Krakowie. (Str. 11).

Dobrze urządzony piec, w którym system kanałów przeprowadzonych odpowiednio, pochłaniających wszystek cieplik powstający ze spalonego opału, jest najoszczędniejszym sposobem ogrzewania. Kanały przeprowadzone po całéj powierzchni pieca, rozgrzewają ją do pewnego stopnia tak, że nawet po zamknięciu pieca, powierzchnia jego przez promieniowanie, ogrzewa pewną przestrzeń. Kafle białe polewane, promieniują wolno, czyli wolniéj stygną i dają ciepło nietylko natężone lecz jednostajniejsze; ściany niepolewane promieniują szybciéj, prędzéj stygną, ogrzewają nietyle jednostajnie. Przy paleniu w piecach, niezmiernie wielkiéj wagi jest zamykanie ich; zawczesne zamknięcie zapobiegając stracie ciepła, jakie zabierane jest przez powietrze zimne przepływające po kanałach pieca, grozi strasznie w skutkach zagorzeniem. Następuje ono w skutek wytwarzania się w piecu gazu tlenku węgla, mające miejsce wtenczas, gdy zanadto silnie rozżarzone węgle ulegają niezupełnemu paleniu, czyli łączeniu się z tlenem dopływającego szczelinami powietrza, pomimo zamknięcia drzwiczek, a zamknięta zasuwa piecowa (szyber) przeszkadza wyjściu na zewnątrz tlenku węgla, przez co tenże wychodzi szczelinami drzwiczek do mieszkania. Gaz tlenek węgla, tak dalece jest gwałtownie działającym, iż jedna setna część jego w powietrzu sprowadza aż nadto znane skutki zagorzenia, — przypisywane niewłaściwie kwasowi węglanemu, który jest wprawdzie g w a ł t o w n i e szkodliwym, lecz dopiero wtenczas, gdy ilość jego w powietrzu przechodzi 20 setnych. Dla zapobieżenia wytwarzaniu się w piecu gazu tlenku węgla, co zwłaszcza ma miejsce przy użyciu twardego drzewa, jako dającego po spaleniu węgla ścislejszy, trudniéj stygnący, należy przed zamknięciem zasuwy pieca zamknąć na jakiś czas drzwiczki. Palenie się węgli pozostałych ustaje, zaczynają stygnąć, a gdy zupełnie zrobią się ciemnymi, dopiero zamknąć zasuwę. Ostrożności przy zamykaniu pieca, powinny być zawsze zachowywanemi, ale szczególniéj te na noc; w czasie dnia ból głowy

zwiększający się stopniowo w skutek zagorzenia, ostrzega o niebezpieczeństwie, gdy tymczasem podczas snu, odurzające działanie zagorzenia zwiększa na niektórych osobach senność, doprowadzając je do nagłéj śmierci.

Zwiększająca się coraz bardziéj wysokość ceny drzewa, przyczyniła się do rozpowszechnienia torfu, a zwłaszcza też węgla kamiennego; użycie tego opału w zwyczajnych piecach, powinno być uważaném jako bezwarunkowo niemożliwe. Węgiel kamienny, a toż samo stosuje się i do torfu, po spaleniu pozostawia zawsze znaczną ilość, tak nazwanego zarzewia, to jest, drobnych kawałków niespalonego węgla, rozgrzanych do bardzo wysokiéj temperatury. Takież samo zarzewie powstaje wprawdzie i przy użyciu drzewa, lecz składa się z cząstek węgla nie tyle ścisłego, przeto łatwiej stygnącego. Zimny węgiel, chociaż zostający w zetknięciu z powietrzem, nie może się łączyć z tlenem powietrza; nie wytwarza więc ani kwasu węglanego, ani tlenku węgla, o którego gwałtownéj szkodliwości powyżéj było wspomniane. Z tego wynika, że paląc w zwyczajnym piecu węglem kamiennym, potrzeba tak długo wstrzymywać się z zamknięciem zasuwy pieca, dopóki zarzewie zupełnie nie ostygnie, to jest, nie stanie się niebezpieczném źródłem czadu, czyli zagorzenia. Doświadczenie jednak przekonywa, że węgle kamienne i torf wydają zarzewie, które pozornie wystygłe, pokryte grubą warstwą popiołu, po kilku nawet godzinach nie straciło swego ciepła a zatem możliwości wytwarzania tlenku węgla. Ażeby więc uniknąć nieszczęścia zagorzenia, nie można przez kilka godzin zamykać zasuwy pieca; przez ten czas powietrze zimne w wielkiéj obfitości przepływa kanały pieca, odbiera mu cieplik i wystudza go prawie zupełnie. Nietylko więc niéma oszczędności przy użyciu węgla kamiennego w piecach zwyczajnych, lecz przeciwnie—strata; daleko więc korzystniéj, oszczędniéj jest w piecach zwyczajnych palić drzewem, aniżeli węglem kamiennym.

Oszczędném jest użycie na opał w piecach mieszkalnych węgla kamiennego lub torfu, gdy piece są zbudowane odpowiednio, to jest, nie mają wcale zasuw, a drzwiczki mają szczelnie zamykane, tak nazwane hermetyczne. Piece zwykle zaopatrywane są zasuwą (szybrem) nie dla tego ażeby zapobiedz uchodzeniu ciepła, jak to pozornie się wydaje, lecz dla przeszkodzenia przechodzeniu zimnego powietrza przez kanały; powietrze to ogrzewa się, zabiera więc cieplik i uchodzi na zewnątrz pieca. Takie przechodzenie ma miejsce nawet przy zamkniętych drzwiczkach pieca, jeżeli drzwiczki są zwyczajne, mające zawsze mniejsze lub większe szpary. Zupełnie rzecz się ma inaczéj gdy drzwiczki zamykają się szczelnie, hermetycznie, pomimo tego że rura pieca ma bezpośredni związek z kanałem kominowym. Powietrze po kanałach pieca wcale przechodzić nie może, bo szczelnie zamknięte drzwiczki nie dopuszczają go. Wystyganie takiego pieca następuje tylko w skutek promieniowania ciepła przez ściany jego, to jest, udzielanie ciepła przestrzeni otaczającéj go. Oprócz szczelnie zamkniętych drzwiczek, piece do węgla koniecznie opatrzone być muszą rusztem, czyli kratą żelazną, na któréj kładzie się węgiel; pod ruszt prowadzą małe drzwiczki, które ciągle otwarte być powinny podczas palenia; drzwiczki zaś większe, któremi się wkłada węgiel, podczas palenia są zamknięte. Przy takiém urządzeniu pieca, ciąg powietrza zwiększa się, dopływa go tylko taka ilość, jaka jest konieczną do spalenia węgla; przez co osiągniętą zostaje największa możliwa korzyść z danéj ilości ciepła, a zatem jest to najoszczędniejsze ogrzewanie mieszkania. Nie grozi już tu niebezpieczeństwo zagorzenia, chyba wyjątkowo, gdy piec niéma dobrego ciągu i dymi, to o używaniu takiego pieca mowy być nie może; w każdéj chwili czasu drzwiczki mogą być zamknięte, gdyż gazy z pieca mają swobodne ujście. Nie potrzeba więc wyczekiwać chwili ostygnięcia węgli. Piece więc z rusztem, mające odpowiednio rozprowadzone kanały, z drzwiczkami szczelnie zamykanemi,—zadosyć czynią w zupełności warunkom dobrego i taniego ogrzewania; nie przewietrzają jednak tyle jak zwyczajne piece, jako przepuszczające czyli ciągnące w siebie mniejszą ilość powietrza. Temu zapobiedz można przez otwieranie okienka podczas palenia, bynajmniéj nie dla zwiększenia przeciągu,—lecz okienkiem uchodzi powietrze ciepłe zużyte w mieszkaniu, a nachodzi świeże. Obawa zanadto wielkiego wystudzenia mieszkania ginie, gdyż silnie rozgrzewające się ściany pieca, przy użyciu nawet małéj ilości opału, wynagrodzą z łatwością wyziębienie mieszkania, to jest, strata ciepła przez otwarcie okienka, zostanie sowicie wynagrodzoną przez dobre urządzenie pieca.

Mniemanie jest powszechne, iż ciepło z węgla kamiennego jest zanadto silne, jak się zwykle wyrażają. Błędności tego mniemania zbijać prawie by nie należało, bo ciepło tak od słońca jak i ze wszystkich materjałów opałowych jest jednakowe. Ale tu zachodzi inna bardzo ważna okoliczność, na którą zwrócić uwagę należy. Powietrze oprócz stałych głównych części składowych, powinno koniecznie zawierać w sobie pewien stosunek pary wodnéj, ażeby zadosyć czyniło potrzebie naszego organizmu; zanadto suche powietrze jest niezdrowém. Zanadto trzebaby rozszerzyć się nad tą okolicznością, chcąc ją więcéj szczegółowo wyjaśnić; dosyć jest powiedzieć, że im większą jest różnica w stopniu ciepła w mieszkaniu i na dworze, tem suchość mieszkalnego powietrza jest większą; więcéj mu brakuje pary wodnéj do ilości, jaka stanowczo przy danym stopniu ciepła znajdować się powina w powietrzu. Im stopień ciepła jest większy, tem normalny stosunek pary wodnéj w powietrzu powinien być większy; powietrze na dworze mające kilka stopni mrozu, zawiera pary pewną ilość; przypuśćmy nawet że ona jest normalną, — lecz powietrze mieszkania ogrzane choćby tylko do 14 stopni ciepła, z takimże samym zasobem pary jest bardzo dalekiém od normalnego, jest zanadto suche. Ta właśnie suchość powietrza mieszkań dobrze ogrzanych podczas mrozów, daje się odczuwać każdemu, a każdy doświadczając jéj na sobie, przypisuje przyczynę czemu innemu; nie ulega wątpliwości, iż wywiera ona przy długiém trwaniu, a zwłaszcza na osoby nie wychodzące z téj suchéj atmosfery, szkodliwy wpływ na zdrowie—nieunikniony. Zapobiedz można téj nienormalności powietrza mieszkalnego, przez sztuczne zwiększenie ilości pary w mieszkaniu, jak np. trzymanie w mieszkaniu naczynia wielkiéj powierzchni, napełnionego wodą, lub doniczki z kwiatami. Na dowód ścisłości powyżéj przytoczonego rozumowania, nie będzie zbytecznem nadmienić, iż zeszłéj zimy w jednéj z sal rządowych, przeznaczonych na bióro pewnej władzy,—dobrze ogrzane powietrze podczas mrozów dotkliwie było przykrém, z przyczyny swéj suchości. Zapobieżono temu przez postawienie kilku naczyń płaskich z wodą. Ażeby nie być w błąd prowadzonym, należy pamiętać iż co innego zupełnie jest wilgoć w mieszkaniu, wywierająca szkodliwy wpływ na zdrowie z innych powodów, a zupełnie co innego normalny stosunek pary wodnéj w powietrzu.

Dosyć się upowszechnia użycie w mieszkaniach pieców żelaznych, zrobionych z żelaza lanego lub blachy; taniość stosunkowa takich pieców, mała objętość, wiele przemawiają za ich użyciem. Przy paleniu w nich wszakże, oprócz ostrożności powyżéj wymienionych, należy miéć na uwadze jedną okoliczność. Tak lane żelazo jak i blacha, bardzo szybko rozgrzewa się do tak wysokiego stopnia ciepła, iż piec żelazny wydaje nieznośny swąd, który powstaje z rozkładu, spalenia niezmiernie drobnych cząsteczek organicznych pływających w powietrzu. I piece zwyczajne, zanadto silnie rozgrzane, sprawiają takiż sam skutek, lecz nierównie słabiéj, bo nigdy do tak wysokiego stopnia ciepła nie bywają rozgrzane jak żelazo.—Nazywają to przepaleniem pieca, jakiego łatwo uniknąć, kładąc mniéj opału. W piecach żelaznych uniknąć można przepalenia, używając bardzo mało opału na raz; ściany pieca szybko rozgrzane, bardzo też szybko stygną. Chcąc zatem używać pieca żelaznego, bez narażenia się na przykrość swędu, jaką wydaje taki piec, potrzeba w nim palić po kilka razy na dobę.—Wylepienie pieca żelaznego gliną, wewnątrz albo zewnątrz, usuwa zanadto szybkie rozpalenie się ścian pieca,—lecz taka polepa, przy jak najstaranniejszém zrobieniu jéj, bardzo szybko psuje się. Gdyby zdołano urządzić wylepianie takich pieców ostatecznie trwałe, użycie ich byłoby o wiele więcéj korzystném.

O ogrzewaniu za pomocą kaloriferów, niedogodnościach i oszczędnościach w opale jakie one przedstawiają, jako nieodpowiedniém dla niewielkich mieszkań, — jak również o użyciu gazu do ogrzewania, zbyt kosztownem w zastosowaniu, dosyć będzie tylko tutaj wspomnieć.

A. Rogalewicz.

JAN MATEJKO.

(Dokończenie).

Pierwsze te prace wykonane w domu, zjednały przecież Matejce już ze strony nauczycieli uznanie, w skutek czego podjął on po pierwszy raz w szkole wypracowanie kompozycji historycznéj, i wykończył: *Starowolskiego z Karólem Gustawem nad grobem Łokietka.* Było to w roku 1857, kiedy Matejko liczył dopiero lat 19.— Tenże sam rok wydał na światło dzienne mniejszych rozmiarów obrazek: *Stańczyka*, owoc pracy domowéj. W szkole ułożył Matejko obraz średnich rozmiarów, którego treść wszakże świadczy o wczesném zajęciu się umysłu jego najpoważniejszemi sprawami życia.— Przedmiot ze siebie prawie nie nadający się dla artysty, obchodzący żywiej archeologów, niż ludzi powodujących się uczuciem i wyobraźnią, stał się pod pędzlem Matejki obrazem pełnym życia i ognia. Mówimy o *Nadaniu przywilejów Akademji Krakowskiéj przez Zygmun-*

ta I. Świadczy to o głębokiém pojmowaniu ważności takiego aktu dla dziejów oświaty, że młodociany umysł artysty umiał w tym akcie, tak na pozór zimnym, dopatrzyć owéj iskry, z któréj roznieciło się ognisko umysłowego życia w narodzie. Nie chcielibyśmy przypisywać tego brakowi zrozumienia ważności chwili, którą artysta przedstawił, że obrazu tego nie zakupili właśnie ci, którzy są dziś piastunami owéj instytucji przez Zygmunta uświetnionéj; nie chcemy pomawiać o złą wolę Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, które wtedy zajmowało dość ważne stanowisko w Krakowie. Przypiszemy raczej brakowi środków materjalnych to, że obraz ten nie został zakupiony, aby go umieścić tam, gdzie miejsce znaleść był powinien: w gmachu Akademji krakowskiéj. Zastąpił artysta sam ten brak, gdyż obraz swój darował bibliotece Jagielońskiéj, gdzie po dziś dzień oglądać go można.

Po takich początkach, które już zapowiedziały niepospolitego artystę, otrzymał Matejko stypendium dla udania się za granicę.— Najpierw udał się do Monachium. Mylnie twierdzili niektórzy, jakoby Matejko zostawał tu pod wpływem prof. Pillatego. Bawił on wszystkiego w Monachium 10 do 11 miesięcy, i wykonał obraz przedstawiający *Bonę* królowę, za kóry otrzymał brązowy medal, jako nagrodę od akademji monachiowskiéj. W obrazie tym, wykonanym zresztą w domu nie w szkole, rozróżni każdy, nawet kto nie jest znawcą, że ani sposób traktowania, ani koloryt nie jest w niczem zbliżony do Pillatego, że owszem Matejko zdradza już swój własny oryginalny tryb malowania. W Mnichowie chorował Matejko ciężko, a ledwo szpital opuścił, już musiał się stawić w Krakowie do popisu wojskowego. Było to w r. 1859. W Krakowie poświęcił się studjom nad ubiorami w Polsce, których liczne ryciny zamieszczał Tygodnik Illustrowany Warszawski.

Oprócz pobytu w Mnichowie przez 10 miesięcy, nie był Matejko w żadnéj akademji, w żadnéj szkole zagranicznéj. Pobyt dwumiesięczny w Wiedniu w r. 1860, zaledwie na wzmiankę zasługuje. W tymże roku postradał ojca. Jakkolwiek cios ten mocno wstrząsnął umysłem jego, to jednak zdaje się, jakoby nieszczęście podwoiło w nim siłę. W r. 1861 wykonał on (może poczęści nawet pod wpływem ostatniego ciosu) *„Śmierć Wapowskiego"*.

Z wykonaniem większego obrazu, przedstawiającego *Jana Kazimierza,* kończy się pierwszy okres zawodu artystycznego Matejki, który mu utorował drogę do uznania powszechnego.

Odtąd wchodzi życie naszego artysty w drugi okres, gdzie już staje się mężem publicznym, a dzieła jego stały się przedmiotem uwagi nietylko pojedynczego narodu, ale i całéj Europy.

Okres ten odznacza się zarówno zmianą w stosunkach jego domowych, jako też i w artystycznych.

Urządził sobie teraz już (1862) osobną choć skromną pracownię, i z niéj to właśnie powstały te dzieła Matejki, które imieniu jego zjednały odrazu jedno z pierwszorzędnych stanowisk między artystami.

Ztąd wyszła *Urszulka,* obraz godny wielkiego poety, którego miłość i boleść artysta umiał uczuć i przelać na płótno, tak jak przed nim żaden nie zdołał. Kochanowski znalazł w Matejce godnego tłumacza. Umysł Matejki potrzebował na to, aby się okazać w całéj swojéj potędze, rozleglejszego pola, przedmiotów wznioślejszych, uczuć gwałtowniejszych, niż owo ciche, bierne, żałobne rozpamiętywanie poety, nad zgonem ukochanéj córki. Na wszelki wypadek, dowodzi sam wybór przedmiotu głębokiego poczucia poetycznego. Jednak poczucie to, które tlało w przygnębionym smutkiem ojcu płomieniem bladéj lampy nagrobnéj, rozżarzyło się w piersiach młodego artysty w płomień namiętności w obec czynów, które światem wstrząsały.

W tymże samym roku 1862, wystawił on *Skargę,* gromiącego występne życie dworu i panów. Obraz ten przemawia do dzisiejszych tą samą myślą, jaką był natchniony i każący Skarga.

Już *Jan Kazimierz,* a szczególnie *Urszulka,* uczyniły niepospolite wrażenie w Warszawie; ale w *Skardze,* któremu Matejko poświęcił dwa lata pracy, nacechował on się jako jeden z wybranych mistrzów. Na wystawie paryzkiéj w r. 1865, otrzymał ten obraz złoty medal.

Oprócz *Skargi* i *Stańczyka*—wykonał w tymże samym czasie, na żądanie pewnego koła lekarzy, portret *Dietla.*

W r. 1863 ożenił się Matejko i upamiętnił tę nową epokę w życiu swojém pracą pędzla, portretem żony swojéj w ślubnym stroju. Nie mógł zaprawdę artysta godniejszego podarku ślubnego ofiarować swojéj oblubienicy. Ożenienie wpłynęło pomyślnie na osobiste stosunki artysty. Przedtém bowiem oddany z całym zapałem twórczego umysłu sztuce, zapomniał o swoich potrzebach i byłby może wkrótce stérał przedwcześnie siły i zdrowie, czemu teraz zaradza zapobiegliwość kochającéj żony. Mógł on się odtąd oddawać pracy artystycznéj bez troski o drobne codziennego życia potrzeby.

W ciągu roku 1867 wykończył cztery dzieła, które się z sobą o pierwszeństwo sprzeczają: *Sędziwoja, Władysława Białego, Ogłoszenie wyroku śmierci przez rajcę krakowskiego i Wskrzeszenie Łazarza.*

Dla dopełnienia naszego zarysu należy dodać, że szereg prac przez nas wymienionych stanowi tylko kwiat działalności artystycznéj Matejki. Oprócz tych jednak istnieje mnóstwo drzeworytów, podług jego rysunków zamieszczonych w illustrowanych pismach Warszawskich.

Płodność i pracowitość Matejki, są to zalety podrzędne obok genialnéj jego twórczości, która się objawia głównie w téj niezależności umysłu, że tak pomysły do dzieł jego, bywały zawsze z własnego czerpane natchnienia, jako też i sposób wykonania był zupełnie jemu tylko właściwy i od nikogo nie nabyty.

Z tego powodu czynili mu zazdrośni cudzoziemcy zarzut, jakoby nie poszedł za żadną szkołą; ale dziś już przyznają właśnie w tém największą zaletę, że Matejko sam jest szkołą.

Karól Widman.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTÉJ TERESY

NA WESOŁÉJ W KRAKOWIE.

(Kościół Karmelitanek bosych).

Przez często trafiającą się sprzeczność nazwisk i faktów, rok temu właśnie w Krakowie, na przedmieściu zwaném Wesoła, zaszło smutne, a niezmiernie głośne w całéj Europie zdarzenie, które wywołało oprócz niezliczonego mnóstwa artykułów dziennikarskich, wiele spekulacyjnych, bez żadnego talentu napisanych utworów, w formie powieści, dramatów i t. p. Do tego rodzaju wyrobów literackich rzucają się zwykle mierności, niezdolne wartością wewnętrzną zwrócić uwagi czytelnika, niezdolne talentem podbić i przywiązać do siebie publiczności, wyzyskujące tylko na własną korzyść rozgłos jaki ma skandal, jak pasożyty czepiające się do wypadku, który sam przez się bez nich miał dosyć rozgłosu i obudził zajęcie. O takich publikacjach, rozumie się, mówić tutaj nie będziemy, chcemy tylko w krótkości skreślić historją Karmelitanek krakowskich i opowiedzieć „sprawę zamordowanéj zakonnicy," jak ją z początku nazywano, w jéj faktycznym przebiegu.

Dzieje kościoła i klasztoru nie są bogate w szczegóły, a przeszłość jego daléj jak półtora wieku nie sięga. Kościół i klasztor są fundacją Jana Szembeka kanclerza w. k. i żony jego Ewy z Leszczyńskich, którzy na nową osadę wprowadzili doń cztery zakonnice, z innego klasztoru karmelitanek, istniejącego podówczas w Krakowie pod wezwaniem św. Marcina. Było to w r. 1725 Kraków podówczas bogatym był w kościoły i klasztory, bogatszym jak dzisiaj, chociaż i dziś jest jeszcze kościołów katolickich 35, unicki 1, i jeden ewangielicki, a do téj liczby przybędzie wkrótce budujący się również na Wesołéj kościołek Jezuitów. Klasztorów żeńskich było zawsze i jest dotąd niemało w starym grodzie. Są tam obecnie Klaryski, Wizytki, Siostry miłosierdzia, Prezentki, Siostry szpitala św. Ducha, w potocznéj mowie krakowskiéj, zwane Duchaczkami, Karmelitanki, Dominikanki, Magdalenki, Bernardynki i Norbertanki. A ponieważ Siostry miłosierdzia mają dwa kościoły, jeden na Wesołéj przy szpitalu św. Łazarza, drugi na Kleparzu przy ulicy Warszawskiéj (zamknięty dla publiczności), więc z ogólnéj liczby kościołów, 11 jest w rękach zakonnic, przy innych zaś dwunastu istnieją klasztory męzkie: Dominikanów, Franciszkanów, Bernardynów, Misjonarzy, Kanoników regularnych, Augustjanów, Bonifratrów, Kapucynów, Karmelitów, Paulinów, Pijarów i Reformatów.

Fundacja klasztoru i kościoła Karmelitanek na Wesołéj, nastąpiła w tym roku właśnie, kiedy Marja Leszczyńska, córka króla Stanisława i Katarzyny Opalińskiéj, wychodziła za mąż, za Ludwika XV króla Francji. Królowa ta była też szczególną dobrodziejką nowo wzniesionego kościoła, czego dowodem jest między innemi znajdujący się dotąd w zakrystji ornat, pelą na atłasie przez nią haftowany. Oprócz téj pamiątki i bardzo pięknych ubiorów kapłańskich ręcznéj pracy, po większéj części krakowianek, różnymi czasy ofiarowanych klasztorowi, kościół posiada gustownie wykończoną monstrancją i relikwiarzyk z małą karteczką, na któréj, jak podanie niesie, ręką św. Teresy, założycielki zakonu Karmelitanek, napisane są wyrazy: *Jesus amor noster.*

W marmurowym wielkim ołtarzu, zwraca uwagę starannie wykończony i tchnący prawdziwie religijnym duchem obraz św. Teresy, pochodzący z połowy XVII wieku, pędzla niewiadomego artysty.

W grobach kościelnych, zakonnice przechowują cztery ciała zmarłych niebalsamowane, a nieuległe zepsuciu. W tej liczbie są zwłoki Konstancji z Myszkowskich Bużeńskiej, fundatorki zakonu Karmelitanek w Krakowie, która po owdowieniu wstąpiła do tegoż zakonu i przyjęła imię Beaty. Pani ta zmarła w r. 1637 i pierwotnie pochowaną była w dawniejszym klasztorze, o którym już wspominaliśmy. Drugie zwłoki, które nie uległy zepsuciu, są Teresy Marchockiej, która pod imieniem zakonném Teresy była karmelitanką w Warszawie i tu zmarła w roku 1652. Współcześni przyznawali jej ducha proroczego, i utrzymywano że po śmierci przy jej ciele wierni dostąpili wielu łask. Nie była jednak ani kanonizowaną, ani wpisaną w poczet błogosławionych. Gdy w r. 1818 zniesiono Karmelitanki w Warszawie, zakonnice przeniosły się do klasztoru krakowskiego i z sobą to ciało przeniosły. Przy przewożeniu ukradkowém ciało zamokło i obecnie jest czarne. Trzecie szczątki dochowane w całości, są ciałem błogosławionego Michała karmelity, zmarłego w r. 1641 i pochowanego pierwotnie w nieistniejącym dzisiaj klasztorze Karmelitów, pod wezwaniem św. Michała w Krakowie. Historja czwartych zwłok, kobiecych, nie jest nam wiadomą.


Polowanie na lisy. (Str. 14.) Wyjazd.

Otóż mamy w streszczeniu całe dzieje kościoła i klasztoru, który się stał tak głośnym. Aby je uzupełnić, musielibyśmy chyba spisać osoby z więcej znanych rodzin, które w tych murach dobrowolnie za życia się zamknęły i podać listę kolejno następujących po sobie przełożonych.

Przechodzimy do opowiedzenia wypadku, któremu klasztor karmelitanek na Wesołej winien swoję sławę dzisiejszą; opowiemy go zaś tak, jakby go może zapisał jaki rocznikarz starożytny, zgasły dla świata, wolny od namiętności i uprzedzeń, zapisujący na kartach księgi dzień po dniu i fakt po fakcie, ku pamięci przyszłych pokoleń, bez uwag i komentarzy.

Około 20 lipca r. 1869, sąd karny krakowski odebrał list bezimienny, w którym zawiadomiono go, że w klasztorze karmelitanek na Wesołej znajduje się od 20 lat przeszło, Barbara Ubrykówna, zakonnica, uwięziona w celi ciemnej, nigdy nieopalanej, zupełnie pozbawiona odzieży. Sąd wahał się dać wiarę listowi bezimiennemu i na takiej podstawie zakłócać spokój klasztorny; szczegóły jednak w nim zawarte były tak dokładne, że zdecydowano się posłać komisją do klasztoru.

W d. 21 lipca komisja ta, uzyskawszy bez trudu pozwolenie miejscowego biskupa, ks. Gałeckiego, w towarzystwie wydelegowanego przezeń prałata, udała się do klasztoru.

Zejście na miejsce potwierdziło w zupełności fakt doniesiony bezimiennie.

Komisja znalazła Barbarę Ubryk, w celi na pierwszém piętrze, mającej podwójne drzwi drewniane, zamknięte ryglem, w którego skoblu tkwił kołek.

Za otwarciem tych drzwi, ukazała się celka ciemna prawie zupełnie, gdyż okno aż pod sam wierzch było zamurowane, i tylko zostawiona wązka szczelina, którą przemykało się światło. Wyziew nieprzyjemny buchnął przez drzwi i zaświadczył, że zamknięta w tej celi na miejscu czynić musiała zadość wszystkim potrzebom.

W celce tej, na 7 kroków długiej a na 5 do 6 szerokiej, ujrzano tuż przy drzwiach, na garści starego na proch barłogu, postać kobiety zupełnie nieodzianej, siedzącej na ziemi. Ciało jej niezmiernie było wychudłe, czarne, bo od niepamiętnych czasów niemyte, włos rozczochrany, pozlepiany błotem, wzrok trwożliwy, wyraz twarzy przestraszony.


Polowanie na lisy. W drodze.

Za otwarciem drzwi zawołała:

— Dobrodzieju, będę posłuszną... jeść, jeść.

Komisja posłała po ks. biskupa, który przybywszy, surowo zgromił zakonnice za takie traktowanie swej siostry.

Następnie przeniesiono Barbarę do widnej celi na dole. Dano jej odzież, łóżko i pościel.

Na zapytania, zakonnice i kapelan zeznali, że Barbara Ubryk jest obłąkaną, że odzieży jej dawać nie można, bo drze wszystko na sobie; a trzymać ją musiano w ciemnej celi, gdyż obnażona stawała w oknie i ukazywała się przechodzącym.

Nazajutrz, komisja zjechała znowu w towarzystwie lekarzy sądowych. Lekarze znaleźli Barbarę obłąkaną, odpowiadającą na pytania bez związku, ale łagodnie, siedzącą ciągle z nogami pod sobą, jak się w ciągu długiego zamknięcia siedzieć przyzwyczaiła, i z wyjątkiem odgniecenia kolan, zdrową na ciele.


Polowanie na lisy. W polu.

Cela, którą zajmowała Barbara, była już wymytą i wyczyszczoną w czasie oględzin lekarskich i okno w niej było wybite.

Z polecenia lekarzy postanowiono chorą przenieść nazajutrz do szpitala obłąkanych.

Z badania przełożonéj okazało się, że Barbara Ubrykówna, urodzona w r. 1817, wykonała śluby zakonne w Warszawie w roku 1837, następnie przeniesioną została do Krakowa, gdzie dostała obłąkania i od 1848 roku była zamkniętą w celi, w któréj ją znaleziono.

W d. 23 lipca przewieziono Ubrykównę do szpitala Ś. Ducha, ubraną w szaty zakonne i nie drącą ich na sobie. Zauważono jéj lekkość, — wycieńczona głodem ważyła zaledwie 68 funtów wiedeńskich.

Tegoż dnia po godzinie 11 wieczorem, pareset osób, po największéj części młodych ludzi, zgromadziło się przed klasztorem karmelitanek, wybiło bramę, i dostawszy się na podwórze, wytłukło przeszło 50 szyb w mieszkaniu kapelana i w kuchni. Oddział straży policyjnéj przybywszy na miejsce, położył z łatwością koniec téj samowoli.

Nazajutrz, na daleko większą skalę ponowiły się nieporządki. Wieczorem przed bramą klasztoru zebrało się kilka tysięcy ludzi, z których mała część tylko brała udział w rozruchu; ogromną zaś większość prowadziła prosta ciekawość. Nowemu najściu zapobiegła silna straż rozstawiona przed klasztorem. Skończyło się więc tylko na hałasowaniu, poczem jednak tłum wracający wdarł się do zabudowań i ogrodów jezuickich, tam potłukł szyby i dwóch oo. jezuitów czynnie znieważył; następnie zaś powytłukiwał okna w klasztorach Wizytek, Sióstr Miłosierdzia na Kleparzu, a wreszcie u Norbertanek na Zwierzyńcu.

W czasie tych zajść aresztowano około 40 osób. Dzięki energicznéj postawie władzy i głosom rozsądnych obywateli, zaburzenia nie ponowiły się więcéj.

W niedzielę dnia 25 lipca aresztowano i osadzono w więzieniu przełożoną Karmelitanek, pannę Marją Wężykównę, oraz podprzełożoną Teresę Kosterkiewiczównę. Przełożonéj z własnej woli towarzyszyła jedna z zakonnic. Tegoż dnia w Czernéj pod Krakowem, umarł nagle ks. Karmelita Lewkowicz, który był dawniéj kapelanem na Wesołéj i wiedział o położeniu Barbary. Aresztowano także, w parę dni późniéj, ks. Juliana Kozubskiego, przeora kks. Karmelitów w Czernéj.

Tym sposobem sprawa cała dostała się w ręce właściwe, w ręce sprawiedliwości, i dalszéj jéj kroniki już w archiwach sądu szukać należy. My ograniczymy się tutaj na podaniu jednego jeszcze szczegółu i ostatniego rezultatu.

Rewizja klasztoru dokonana przez sąd w dniu 27 lipca odsłoniła nam jego wnętrze, zamknięte dla oka profanów. Według naocznych świadków tej rewizji, wnętrze klasztoru przedstawiać ma wybitną cechę średniowieczności. W refektarzu na stole stoi czaszka, umieszczona na postumencie. Obok refektarza znajduje się sala pokutna, w któréj mieści się mnóstwo narzędzi do zadawania sobie męk, czyli do tak zwanego martwienia ciała. W liczbie innych, są tam dwa krzyże: jeden wielki z ciężkiego drzewa, ważący około 80 funtów wiedeńskich (110½ funt. warsz.), drugi mniejszy; oba przeznaczone do dźwigania przez pokutnice; daléj szelki, na których wiszą dwa ciężkie marmurowe kamienie, służące do uderzania się w piersi; kilka koron cierniowych, z zaostrzonemi grubemi kolcami do wsadzania na głowę; paski druciane, z łańcuszków plecione, z kolcami wewnątrz, do zapinania na gołém ciele; dyscypliny o kilku ogonach, plecione z twardego sznurka i t. d.

Oprócz tych narzędzi są jeszcze inne, służące do upokorzenia moralnego, jak powróz do zakładania na szyję, słomiane wieńce, przeplatane czarną krepą i t. p.

Już z tego zbioru powziąć można wyobrażenie, jak surową jest reguła Karmelitanek bosych. W ich oczach położenie w jakiém trzymały Barbarę Ubrykównę, nie było o wiele gorszém od tego, w jakiém je same stawiają przepisy klasztorze. Nie było tu więc rozmyślnego pastwienia się, było tylko inne pojęcie łagodności i surowości. Sąd krakowski uznał to, i w zarzucanéj Karmelitankom zbrodni, nie znalazł istoty czynu. Oskarżone zakonnice uwolniono.

Barbara Ubrykówna zostaje dotąd w Krakowie i cierpi nieuleczone obłąkanie.

Wołody Skiba.



Polowanie na lisy. Powrót do domu.

KRYŁOW I JEGO BAJKI.

Pomiędzy wszystkimi rodzajami literatury, przypowieści i bajki należą do najstarożytniejszych. Początek ich ginie w pomroce wieków. Wśród mglistych podań o dziejach Wschodu, doszły nas również tradycje o frygijskim niewolniku Ezopie, jako twórcy bajek, w których, obok malowniczéj fantazji ludów Wschodu, występuje na jaw dowcip i dar bystrego pochwycenia ujemnéj strony natury ludzkiéj. Lecz żeby zbyt ostrą prawdą nie kłuć w oczy takich którym się ona podobać nie może, i którzy poczytując sobie za obrazę wytykanie swoich błędów i ułomności, łatwoby mogli gniew swój na autorze wywrzeć, zamiast ludzi, działają i mówią w bajkach zwierzęta, ptaki, rośliny. Pod tą więc tarczą zmyślenia chroni się autor, którego złość ludzka, fałsz, niewiara, zdzierstwo, przemoc, nadużycie siły, gniewa i oburza.

Lekka, żartobliwa forma bajki od wieków już nęciła pisarzy, zwłaszcza w dojrzalszym wieku, do obrania sobie tego rodzaju poezji; ztąd w literaturze wszystkich narodów znajdujemy bajkopisów, którym Ezop za wzór do naśladowania służył. Lecz do takich, którzy porzuciwszy naśladownictwo,

utworami pełnymi oryginalności trwałą sławę sobie zjednali, zaliczyć możemy, we Francyi Lafontain'a, u nas Krasickiego, a w Rossyi Kryłowa.

Jan Kryłow urodzony w 1768 roku, syn oficera w czynnéj służbie zostającego, miał zaledwie lat jedenaście gdy go ojciec odumarł. Pozostała mu opieka tkliwie kochającéj go matki. Jej też winien początkowo swe wychowanie i wszystko to czego w dzieciństwie zdołać się nauczyć.

Nic z razu nie zdawało się zapowiadać w młodym chłopcu zdolności, które w dalszem jego życiu miały mu zjednać powszechne znaczenie u współczesnych i sławę u potomnych. Chłopiec uczył się nęcony obietnicą nagrody, lecz sam sobie sprawy zdać nie umiał, jaką mu w przyszłości korzyść nauka przynieść może. Czytanie go bawiło; czytał więc bez wyboru wszystko co znalazł w książkach, których pełna skrzynia została mu w spuściznie po ojcu.

Gdy tak chłopak bawił się ulubionemi swemi książkami, biedna matka mozoliła się nad opędzeniem pierwszych potrzeb życia, i nakoniec udało się jej umieścić syna w służbie; lecz okoliczność ta niewiele wpłynęła na poprawienie ich losu. Dotkliwa nędza i nadzieja wyjednania pensji za zasługi męża, skłoniły ją do przeniesienia się do Petersburga w 1782 roku. Młody chłopiec dostał tu wprawdzie miejsce, lecz z pensją tylko 25 rubli rocznie. Udało mu się sprzedać pierwszy swój utwór księgarzowi, lecz zamiast ofiarowanych sobie sześćdziesięciu rubli, wybrał nieco francuzkich książek, a w ich liczbie dzieła Racineá, Boileau i Molière'a. Nie mógł dosyć się ich naczytać i ulegając temu wpływowi sam postanowił pisać tragedje. Znajomość ze znakomitym autorem Kniażainem i sławnym artystą dramatycznym Dmitrowskim, jeszcze bardziej zwiększyła w nim zamiłowanie teatru.

Pierwszą próbą Kryłowa w dziennikarskim zawodzie, było wydawnictwo *Poczty Duchów*, satyrycznego dziennika, mającego na celu wyszydzać wszystko, co wtedy autorowi wydawało się smiesznêm, głupiém i szkodliwém. Szczególnym przedmiotem złośliwego jego dowcipu—było upodobanie niektórych osób w używaniu wyłącznie francuzkiego języka i lekceważenie wszystkiego co swojskie.

W 1806 r. znajdował się Kryłow w Moskwie, gdzie zabrał znajomość ze znakomitym poetą Dmitriewem, którego bajki wysoce są cenione równie jak i inne poetyczne utwory. Żywa wyobraźnia i wrażliwy umysł Kryłowa łatwo uległy wpływowi utalentowanego pisarza, tak, że z właściwą sobie skwapliwością, do wszystkiego co nowe, wziął się do tłumaczenia niektórych bajek Lafontaine'a, mianowicie, *Dąb i trzcina*, *Panna na wydaniu*, *Starzec i trzech młodzieńców*. Dmitriew przeczytawszy te przekłady, tak był nimi zachwycony, że usilnie nalegał na Kryłowa aby pozostał na téj drodze, na któréj talent jego tak się świetnie objawił, przepowiadając mu największe powodzenie. Przepowiednia ta się sprawdziła. Chwila to była stanowcza,—wielki bajkopis Rossji się narodził.

Pierwszy zbiór bajek jego wydrukowany został w 1808 roku. Szczupły był bardzo, bo tylko dwadzieścia trzy bajki w sobie mieścił, lecz te tak powszechne zajęcie obudziły, że ich autor od razu stał się w ogólném uznaniu znakomitym pisarzem.

W 1825 roku doczekał się chluby, która słowiańskich pisarzy rzadko spotyka. Bajki jego w liczbie ośmdziesięciu sześciu, przetłumaczone zostały na francuzki i włoski język. Wyszły one w przepyszném wydaniu, ozdobionem wielu rycinami, z tekstem ruskim. Na te tłumaczenia składały się najznakomitsze talenta, którym tylko język ruski był przystępnym. Nie było przykładu w Rossji, aby dzieła jakiegokolwiek pisarza doczekały się tylu wydań co bajki Kryłowa. Liczą, że we wszystkich wydaniach rozeszło się ich do siedmdziesięciu siedmiu tysięcy exemplarzy!

Kryłow nie należał do żadnego stronnictwa. Otoczony przyjaznemi sobie osobami, obdarzony dożywotnią pensją, wynoszącą z górą 3,000 rubli, bez żadnych bezpośrednich obowiązków, mógł śmiało nie dbać o jutro. Cicho, spokojnie i wesoło płynęła reszta dni jego aż do śmierci, która nastąpiła dnia 9 Listopada 1844 roku.

Aby czytelnikom naszym dać choć przybliżone wyobrażenie o bajkach Kryłowa, umieszczamy tu w przekładzie dwie z nich, nie pochlebiając sobie wcale, abyśmy z zadania naszego jako tłumacza, należycie się wywiązali. Większa część tych bajek odznacza się wybitną cechą narodowości. Wybraliśmy więc z nich takie, które mają szersze, ogólniejsze znaczenie:

GĘSI.

Długim kijem, wyciętym w pobliskim gdzieś gaju,
Wieśniak pędził do miasta duże gęsi stado;
I jak to u wieśniaków bywa we zwyczaju,
Niegrzecznie się obchodził z krzykliwą gromadą.
Spieszno mu było bardzo, bo to dzień targowy;
A komu żądza zysku zalezie do głowy,
Nie tylko gęsiom, lecz i ludziom się dostanie.
Chłop miał racją, lecz gęsi inne było zdanie.
Spotkawszy tedy przechodnia na drodze,
Tak na wieśniaka wyrzekały srodze:
— Kto kiedy widział gęsi bardziej nieszczęśliwe?
Ten chłop tak nami pomiata,
Pędzi jak proste gęsi gdzieś na koniec świata;
Takie to w tym człowieku serce niepoczciwe!
I za nic tego zrozumieć nie może,
Jaką cześć dla nas okazać powinien.
Ciemny człowiecze! schyl czoło w pokorze!
Rzym ocalenie swoje gęsiom winiem;
Tam wyprawiano na ich cześć igrzyska.
Od tych to gęsi i nasz ród pochodzi,
A więc pamiętaj chłopie, kto nas rodzi,
Coś winien dla nas z rodu i nazwiska!
— Za cóż chcecie zaszczytów?—przechodzień zapytał.
— Przodkowie nasi w Rzymie.... — I jam o tem czytał,
I wszysto wiem na pamięć, choć to ustęp długi,
Ale powiedzcie, jakie wasze są zasługi?
— Zasługą przodków naszych Rzym był ocalony.
— Prawda, ale coście zrobiły same, z waszéj strony?
— My? nic zgoła. — Więc za nic chwalić was nie można,
Dajcie już pokój przodkom i ich chwale;
Wielkich ich zasług nie zaprzeczam wcale,
Lecz z was, użytek — do garnka i rożna!

Dużoby jeszcze dało się powiedzieć,
Lecz gęsi syczą — lepiej cicho siedzieć.

WILKI I OWCE.

Drapieżność wilków owcom tak już dokuczyła,
Że rząd zwierząt uwagę swoję zwrócić raczył
Na bezpieczeństwo owiec, i radę wyznaczył,
Któraby sprawy owiec z wilkami sądziła.
W radzie téj, wielu wilków wprawdzie zasiadało,
Ale cóż w têm zdrożnego? wszak nieraz bywało,
Na co nie braknie przykładów,
Że się wilki zupełnie wyrzekły napadów,
Biegając koło trzódy jak pieski łagodne,
Gdy tylko nie były głodne.
Ochronę owiec rada na celu więc miała.
Chcąc przytem by i wilkom krzywda się nie stała,
W głuchym borze otwarto zatém posiedzenie:
Każdy w niém głos zabierał mądrze i uczenie,
Debata się skończyły i rzecz już gotowa:
Stanęło prawo, treść jego od słowa do słowa
Jest taka: „Skoro tylko, z pośród wilków który,
Nie pohamuje swéj dzikiéj natury,
I krzywdę owcy wyrządzi,
Wtedy owca, jeżeli chce sprawiedliwości,
Ma prawo, bez legalnych, długich formalności,
Ująwszy za kark wilka stawić w bliskim lesie,
A rada sprawę rozsądzi.
Mądre prawo! Jednakże wieść powszechna niesie,
Że pomimo to wszystko, aż do tego czasu,
Chociaż mówią, że folgi wilkom nie czyniono,
Owca, czy oskarżoną, czy skarżącą stroną,
Zawsze bywa przez wilka ciągniona do lasu.

Stanisław Rewieński.

LIS.

Jego charakterystyka i polowanie na lisy.

(Z rycinami ś. p. Artura Grottgera).

Podając czytelnikom piękne ryciny nieodżałowanego naszego artysty, Artura Grottgera, przedstawiające polowanie na lisy u nas, zamierzyliśmy skreślić w krótkości szkic biograficzny przebiegłego tego szkódnika. Znany on jest wszędzie, bo prawie cały świat, jest jego ojczyzną; toż nie potrzebujemy wiele słów tracić dla wymienienia jego charakterystycznych znamion. Pysk mierny, bardzo zaostrzony, stojące uszy, ogon długi wiechowaty, pokryty bujnym, gęstym włosem, oto cechy zewnętrzne, po których poznać można lisa na pierwszy rzut oka. Szerść na grzbiecie i po bokach mniéj więcéj ruda, pod gardzielą i brzuchem biaława; końce uszu u jednych białawe, u drugich czarne, i to stanowi odmianę dwóch gatunków, bardzo mało różniących się od siebie.

Koniec ogona jest biały i nazywa się kwiatkiem. Całe ciało lisa wydaje woń nader nieprzyjemną, lecz nad ogonem jest miejsce pachnące fiołkami, od znajdującego się tam gruczołu, pewną cieczą napełnionego. Głos wydaje podobny do szczekania psów, czasem jednak inny, przypominający przeraźliwy krzyk pawia. Futro jego jest w ogóle bardzo cenione, jako lekkie i ciepłe, a rzeczywiście posiada ono i trzecią bardzo ważną zaletę, że jest trwałe, ale tylko ze zwierząt ubitych w póżnéj jesieni lub w zimie; przeciwnie zaś, lis ubity na wiosnę, gdy już żaby skosztuje, jak również ginący od trucizny, dostarcza futra prawie bez żadnéj wartości, bo jak to wielokrotnie doświadczeniem stwierdzono, włos z niego obłazi. Lis Syberyjski, cokolwiek większy od naszego, ma futro w zimie białe, lub błękitno-brunatne, które jest lepsze i piękniejsze, a więc też i droższe niż ze zwykłego lisa.

Lis nie jest włóczęgą, jak inne należące i nienależące do tego samego co on rzędu zwierzęta, lecz stale trzyma się swego rodzinnego miejsca. Niedaleko pomieszkań ludzkich, na brzegu lasu zakłada sobie mieszkanie; jest to nora podziemna, którą albo sam własnymi wykopuje pazurami, lub też, co najczęściéj, zdobywa na borsuku, i stósownie do swoich potrzeb rozprzestrzenia i urządza. Warto zaprawdę przypatrzeć się jéj wewnątrz. Ma zwykle trzy do sześciu stóp głębokości, a czterdzieści do pięćdziesięciu stóp obwodu,

i podzielona jest na kilka komórek, z których każda inne ma przeznaczenie; sypialnia oczywiście najwykwintniéj jest urządzona. Tutaj to rodzi się młode pokolenie, zwykle czworo lub sześcioro od razu, i wychowuje się pod okiem czułych rodziców; mówimy czułych, bo wiadomo powszechnie, że tak lis jak i samica troskliwie zajmują się losem swoich młodych, oboje z równém poświęceniem starają się o pożywienie dla nich, i igrając z niemi, niezwykłe okazują przywiązanie. W czternastu miesiącach młody lis dorosta swoich rodziców i wtedy ich opuszcza. Żyje zaś w ogólności około piętnastu lat.

Lis nie jest do tego stopnia zamiłowany w cichém pożyciu domowém, aby miał ciągle przesiadywać w swoim podziemnym zamku. Nie opuszcza go w prawdzie, dopóki dziatwa potrzebuje rodzicielskiéj opieki, i wie, że w chwili grożącego niebezpieczeństwa tam najpewniejszą znajdzie ostoję, lecz lubiąc nadewszystko powietrze świeże i miłą woń lasu, najczęściéj we dnie spoczywa w zacisznéj gęstwinie, i przysłuchując się pianiu kogutów i gęganiu gęsi, w pobliskiéj wiosce, marzy słodko i układa plany nocnéj wyprawy. To jego słaba strona, któréj w istocie uniewinnić nie podobna, ale można przebaczyć przez wzgląd na nadzwyczajny dowcip w obmyślaniu planu i wyborze czasu do jego wykonania, przez wzgląd na godną podziwu zręczność i przezorność, których bez przesady mogliby pozazdrościć lisowi nawet pewni wodzowie, pewnych wielkich armij. Jest jednak chciwy. Zakradłszy się do kurnika, nie poprzestaje na nasyceniu głodu, lecz dusi wszystko co mu w szpony wpadnie, a potém wynosi po trochu każdą sztukę osóbno i nie pierwéj po nowy transport powraca, aż pierwszy należycie w gęstwinie ukryje. Podróż taka z kurnika i do kurnika często całą noc mu zajmuje, a nieraz się zdarza, że nawet przy największym pośpiechu nie zdoła przed wschodem słońca powynosić tego wszystkiego, co w kilku chwilach pomordował. Zjada on także małe dzikie czworonogi i ptastwo gnieżdżące się na ziemi, zwłaszcza kuropatwy i cietrzewie; także robaki, owady, jagody leśne, nawet miód, dla którego częstokroć wielkie zrządza spustoszenie w pasiekach. Z owoców lubi szczególnie winogrona, lecz u nas trudno mu niestety o ten przysmak. Nad brzegami stawów zarosłych trzciną, podchodzi w nocy i wyjada kurki wodne, kaczki i t. p. w wodzie żyjące ptastwo, a gdy tych nie stanie, myszy i szczury, nawet żaby i jaszczórki. Przyciśnięty głodem, często przeciwko swemu zwyczajowi, nie podstępem, nie z nienacka, ale wstępnym bojem uderza na zająca, ściga go jak pies z zadziwiającą wytrwałością i pokonawszy pożera. Na wielkim śniegu nawet starego zająca z łatwością chwyta i pokonywa.

Chytry, przebiegły, niezrównanym jest w wynajdywaniu podstępów zawsze stósownych do okoliczności, zawsze wprost do celu prowadzących. Wsławił się on tą swoją przebiegłością, i przyznać trzeba, że umie być godnym téj sławy. Lekki i niezmordowany jak wilk, lecz zręczniejszy od niego, częściéj podstępem swój cel osiąga, niż tamten siłą, która jest jego jedyną bronią; bo też w ogóle lis bardziéj polega na swoim rozumie, niż na swojéj sile lub szybkości nóg. Ma słuch bystry i wzrok bardzo dobry. Na ptaki zaczaja się jak kot, czołga się na brzuchu, a potém jednym susem chwyta swoję ofiarę; to też znają go ptaki—i ujrzawszy lisa uciekają w mgnieniu oka, ostrzegając donośnym krzykiem sąsiadów o grożącém niebezpieczeństwie. Gdy go pszczoły opadną, przewraca się po ziemi i bije nieustannie ogonem, póki wszystkich nie wymorduje. Godnym jest wzmianki środek, którego używa, aby się pozbyć pcheł. Oto wchodzi w wodę i zanurza się powoli. W miarę tego pchły uciekają na sam wierzch grzbietu, który jeszcze jest suchy. Gdy poczuje, że już wszystkie tam się przeniosły, zanurza się szybko, i wówczas pchły spływają na wodę. Jako dowód nadzwyczajnéj przebiegłości lisów przytoczymy tutaj kilka prawdziwych wypadków:

Pewnego wieczora myśliwy znużony długiém a bezskuteczném chodzeniem po kniei, usiadł na murawie, oparłszy dubeltówkę o drzewo i przypatrywał się zachodzącemu słońcu. Wtém, w odległości kilkudziesięciu kroków, ujrzał lisa powoli idącego. Zerwał się natychmiast, pochwycił strzelbę, zmierzył i już miał dać ognia, gdy oto szybszy od niego sokół, który zapewne przez czas dłuższy ze szczytu wysokiéj jodły czatował na tego samego lisa, właśnie w téj chwili lotem strzały rzucił się na swoję ofiarę. Strzelec wstrzymał się i ukryty za drzewem czekał końca walki. Lis napadnięty niespodziane, przewrócił się na ziemię i zamknąwszy oczy udał nieżywego. Sokół jakby przestraszony tak nagłą śmiercią przeciwnika, odskoczył na kilka kroków i usiadłszy na pniu, obok sterczącym, przypatrywał mu się z uwagą. Widząc jednak, że lis nie daje najmniejszego znaku życia, zbliżył się do niego, usiadł przy jego głowie i zabierał się do wydziubania mu oczów, ale w tejże chwili lis zerwał się, schwycił go w mgnieniu oka za gardło i szybko poniósł w krzaki, gdzie zapewne byłby go zjadł na wieczerzę, gdyby nie to, że niebawem z za drzewa padł strzał, który go pawalił na ziemię.

Pewna gospodyni, mająca pod swoim dozorem drób domowy, wchodzi do stajenki i o dziwo! zastaje wszystko poduszone, a co szczególna, ułożone w stos, jedno na drugiém pod ścianą, w któréj było okno. W pierwszéj chwili uczuła tylko stratę, zwłaszcza że to były gęsi jéj własnego chowu, ale ochłonąwszy z przerażenia, zaczęła zastanawiać się kto mógł być sprawcą téj strasznéj rzezi i dla czego nie zabrał z sobą pobitych gęsi, lecz poprzestał na ustawieniu ich w stos? Stroskaną i rozciekawioną gospodynię objaśnił nareszcie doświadczony myśliwy, że sprawcą tego był niewątpliwie lis, który z powodu znacznéj wysokości okna, nie mogąc dostać się do niego, aby ze zdobyczą powrócić do kniei, poprzestał na zrobieniu z poduszonych gęsi drabiny, która mu ułatwiła ucieczkę.

Biały lis Irlandzki ujrzawszy z brzegu gęsi morskie pływające po wodzie, staje na tylnych łapach, wyciąga szyję i naśladuje chód gęsi tak doskonale, że te biorąc go za jednę ze swych towarzyszek, wychodzą z wody. Wówczas lis rzuca się obces i sprawia rzeź straszliwą.

Polowanie na lisy u nas należy do najprzyjemniéjszych rozrywek. Bo też aby lisa pokonać, potrzeba walczyć taką samą bronią jakiéj on używa, t. j. podstępem, dowcipem i wytrwałością. Myśliwy musi znać doskonale miejscowość, wszystkie przesmyki i wąwozy i dobrze się ukryć. Wyjeżdża się na lisy z psami, konno lub na saniach, z zapasami żywności na cały dzień. Lis ostróżny za najbliższym odgłosem trąbki, ucieka chyłkiem do innego lasu. Na widok psów gończych kryje się w norze. Szczwany chartami, wywija na wszystkie strony ogonem, czasem broni się zacięcie i zwycięża, zwłaszcza taki który się karmi żmijami. Gdy padnie postrzelony, ostróżnie brać go trzeba, bo kąsa; często też udaje nieżywego, lecz wówczas łatwo go zabić można uderzeniem w nos. Najciekawszą częścią polowania jest wywabienie lisa z kryjówki. Aby to osiągnąć, podkurza się słomą wszystkie wyjścia z wyjątkiem jednego. Lecz często się zdarza, że lis pomimo tego nie wyjdzie z nory. Najbardziéj go przestrasza wrzawa, szczekanie psów i trąbka nad jego mieszkaniem. Wówczas wyrywa się, lecz ostróżnie—i bardzo często uchodzi z pod najczujniejszego oka. Lubi on też czasami szydzić z myśliwych, i gdy wracają z polowania po całodziennym trudzie, pokazać się im jakby na drwiny—lecz zuchwalstwo takie zwykle śmiercią przypłaca.

W polach, gdzie dużo myszy, lisa ochraniać należy—bo je wytępia.

Stanisław Nowiński.

PANSTWO MARCINOSTWO.

Obrazek z zaścianka szlacheckiego

przez

J. K. Gregorowicza.

(*Dalszy ciąg*).

— Ba! to mości dobrodzieju rzecz jasna — odrzekł pan Wojciech, namyślając się nad odpowiedzią — klęski z nieba z różnéj idą mocy; czasem z gniewu Bożego, a czasem ze złości szatana. Gniew Boży, świętość i modlitwa rozbraja, gniew złego niszczy niewinność. Córki państwa Marcinostwa, to jak dwie synogarliczki, niewinnością swoją broniły przystępu złemu do pani Marcinowéj. Na wszelki więc wypadek była osłona i ratunek

— A to dziewuchy Marcinianki djabła na wodzy trzymały?

— A jużcić, a dlaczegożby innego je wyprowadzono, odrzekł pan Wojciech i uśmiechnął się nieznacznie.

Uśmiech ten może i bez znaczenia, narobił późniéj we wsi ogromnego rejwachu. Objaśnienie pana Wojciecha powtarzano, przekręcano, dodawano, a gdy rozeszła się po wsi całéj, zrobiono z niego jakby z kozła barana. Najbardziéj w plotkarstwie tém czynne były matki, które nie mogły przebaczyć takiego publicznego wystąpienia dziewczyn, jakkolwiek urodziwych, ale według ich zdania nienajurodziwszych.

— Jeżeli—mówiły—niewinność miała pokonać djabła, to dla czegoż nie zebrano wszystkich dziewuch ze wsi? Jeżeli urodą miały mu moc odebrać, to znalazłyby się urodziwsze, bo w naszéj szlacheczyznie Bóg nie poskąpił dla dziewuch gładkości.

— Jabym jednak, odezwała się pani Wojciechowa, na takie potyczki ze złym, dziecka swego nie ofiarowała. Nużby przyczepił się do niego i rzucił tuman.

— Ej! odezwała się druga, Marcinówki nie lękają się tego; ojciec, stary Marcin, sadzi tak siarczystymi piorunami, że aż człowiek żegnać się musi ze strachu. A że im nic się złego dotąd nie stało, musi w tém być cosić.

— A jużcić, a jużcić, potwierdzono gromadnie, a jedna z matek dodała: jędzonki zębów nie mają, a równie z djabłem gryzą się często i mają nad nim przewagę.

Matki roześmiały się głośno, pani Wojciechowa zaś mruknęła niby z niechcenia: Hanusia ma ząbki białe jak rzepa i lubi je pokazywać, widać dla odstrachu złego, jak nieprzymierzając burek nasz, kiedy się z ich kruczkiem spotyka.

II.

Kiedy plotka, wertując po wsi całéj, doszła wreszcie do wiadomości państwa Marcinostwa, matka załamała ręce i kiwając głową z oburzenia, rzekła:

— A pogany, a zdrajcy! moję Hanusię przymierzać do jędzonki?

— Mopanku!—wrzasnął pan Marcin — moje dziewuchy mają djabła trzymać na wodzy! — A kroć sto tysięcy furbeczek, miljon bataljonów djabłów.....

— Cicho! cicho!—przerwała pani Marcinowa—grzesznéj mowie pofolguj jegomość....

— Co mam mopanku folgować!—wrzasnął pan Marcin, i przypomniawszy sobie zajmowanie się sąsiada naprawą domowego obuwia, do czego miał wszystkie potrzebne przybory, mówił daléj:—Ja nie żaden folgator żebym takim wędzikiszkom, od smoły i dratwy, jak Wojciech, folgował.—Ma on gębę szeroką—i przez moję wjedzie nie wozikiem ale wozem. Ma on język jak szydło; mój rąbie jak topór, a gdzie rąbnie, to tam wióry—miljon kroć sto tysięcy....

— Cicho! cicho!—przerwała znowu pani Marcinowa — z tego to klęcia złe języki dziewuch się czepiły.

— A to jakiém prawem?

— Gdzie ojciec ze *złym* żyje za panie brat, tam córkom *zły* bratem....

— A cóż to, mopanku!—wrzasnął pan Marcin— i jejmość kumać mnie będziesz z aniołem ciemności? — Ja?—ja? ze *złym* żyję za panie brat?—A gdzieżeś to jejmość widziała żebym się z nim bratał albo swatał?—Czy to ja czarownik, czy jaki powietrznik?

— Ależ Marcinku....

— Jeżeli ja czarownik—wrzeszczał pan Marcin, nie zważając na przerwę—to jejmość czarownica, tak, tak, czarownica....

I rzekłszy to pan Marcin, jak opętany wybiegł z izby na podwórze, a zobaczywszy koguta pana Wojciecha siedzącego na swoim płocie, ujął sęk drzewa leżący na ziemi i smyrgnął nim na ptaka, w najlepsze zabierającego się do piania.—Na szczęście rzut był chybiony, sęk przeleciał po nad samą głową koguta i z rumotem uderzył o wrotnie stodoły sąsiada.—Ptak z wielkim krzykiem zerwał się na skrzydła; pomiędzy drobiem podwórzowym zrobił się rejwach, a p. Wojciech na nieszczęście przytomny téj napaści, odezwał się gniewnie:

— Hola! hola! panie sąsiedzie, od koguta mego zdala, bo jakbyście go zabili....

— Zabiję, zabiję, po co mi płot psuje? Czy to ja go dla niego postawiłem?

— Co wy będziecie na mego koguta nastawać?— trzęsąc się od gniewu krzyknął pan Wojciech— na moję krew, na....

— Na waszą krew?— powtórzył z szyderstwem pan Marcin—i roześmiał się na całe gardło.

— Na moję krwawą pracę, chciałem powiedzieć — poprawił się pan Wojciech. Ale pan Marcin nie zważał już na tę poprawkę i ujmując się pod boki wrzeszczał z największą zajadłością:

— Ha! ha!—mości koguciński, jakże się mają córki wasze czubatki, kokoszki?—Cóż,narościły się już na waszą pociechę?

Pan Wojciech oniemiał, a pan Marcin tryumfujący, pragnąc korzystać ze zwycięztwa, rypnął się ku domowi i śmiech przygłuszył, zamykając za sobą drzwi z wielkim rumotem.

— Nazwał mnie kogucińskim—rzekł pan Wojciech, wpadając do izby swego domostwa—a córki nasze czubatemi kokoszkami i pytał się czy już się narościły....

— Kokoszkami?—zawołała rozpaczliwie pani Wojciechowa— i że się narościły?—i ty to przebaczysz?

— Żeby przyszło koszulę zastawić, tak nie daruję. — Oskarżę do sądu, sprocesuję, zniszczę, a pokażę mu żem nie koguciński tylko Łaza, szlachcic od dziada, pradziada, lepszy od niego.

Od kłótni téj między sąsiadami, wojna powstała na zabój. — Wieś cała podzieliła się na dwa obozy, i gdy jedni ze zgrozą powtarzali nazwy: koguciński, kokoszki, czubatki i przypuszczalne naroszczenie się kwoczek, drudzy żegnając się pobożnie, szeptali na Hankę i Basię, córki państwa Marcinostwa, rzucone podejrzenie, że djabła umieją trzymać na wodzy.

— Zostać—mówiono—kogucińskim albo kwoczką, choćby naroszczoną, to tylko despekt dla honoru szlacheckiego; boli ale duszy nie zatraca. — Ale djabła trzymać na wodzy, to grozi szczęśliwości wiecznéj, a nawet doczesnéj, bo djabeł umie niespodzianie zerwać głowę jak makówkę i przemienić człowieka w upiora.—Takie gadanie to się doprasza pomsty Bożéj.

Swarzący się też podsycani taką gadaniną, zapalali się ku sobie coraz większą nienawiścią.—Kłótnia, przygryzki, dokuczanie, wrzały jak woda gotująca się w garnku. Przy studni, na błoniu, przy wyganianiu bydła, przy robocie lub spoczynku, w domu, na dworze, pieszo lub na wozie, nie radzono o niczém, tylko o dwóch bojujących z sobą sąsiadach, a pan Marcin kręcił wąsa zapalczywie, i ile razy zaklął piorunami lub z inném wyjechał przekleństwem, zawsze się zwracał w stronę siedziby Wojciecha, dodając: żeby cię choroba.... Nie kończył jednak zaklęcia, bo mu żona powiedziała, że wiatr może się w chwili mowy odwrócić i sypnąć życzeniem dla sąsiada przeznaczoném.—Klątwa więc o chorobie zawsze mu zamierała na ustach, ale za to nie pominął nic takiego, czémby mu mógł dokuczyć.—Kogut najwięcéj na tém cierpiał. Biedak wzięty był w prawdziwe oblężenie, i niech tylko dzióbem wytknął ku podwórzowi pana Marcina, zaraz kamień, sęk, wiór lub bryła zeschniętego błota leciały ku niemu, robiąc uderzeniem hałas, jakby się walił jaki budynek. — Z pocisków tych wprawdzie oprócz nastraszenia, zawsze hardy ptak wychodził bez szwanku i kokocząc jakby z gniewem, głowę trzymał w jednéj wysokości. — Hardość ta najbardziéj gniewała pana Marcina, i upatrzywszy w niéj podobieństwo do sąsiada, ścigał go ze szczególną zapalczywością, nazywając kochanym sąsiadem kogucińskim,z dodatkiem:żeby cię choroba....



Kryłow (Str. 13)

Pan Wojciech odpłacał się pięknėm za nadobne: oko za oko, ząb za ząb, ale z wielką ostrożnością, żeby do odpowiedzialności sądowéj nie był pociągniętym. Przytem sypał skargami i pozwami jawnie; raz nawet przysłał komornika o wyegzekwowanie kilku złotych przez sąd mu przyznanych. — Była to chwila wielkiego dla Wojciecha tryumfu; pan Marcin zas o mało nie oszalał ze złości, i na drugi dzień wyglądał jakby powstał z jakiéj ciężkiéj choroby.

Oprócz koguta, drugim przedmiotem dokuczliwości sąsiedzkiéj była figura Chrystusa, wyrzeźbiona z drzewa i obsadzona na słupku, tuż przy zbiegu dróg rozgraniczających grunta obu kłótników. — Siedzący Chrystus z podpartą głową na ręku, był zwrócony twarzą na pole pana Wojciecha. Otóż pan Marcin zawsze figurę Chrystusa zwracał na swoję posiadłość, a pan Wojciech na swoję. — W pilnowaniu tej pozycji byli obaj niezmordowani. Zaczajali się na siebie, podpatrywali, szpiegowali, i często jeden albo drugi, cichaczem, już dobrze wieczorem, wymykał się z domu, aby polu swemu przez noc całą zapewnić oblicze Boże. — Raz jednak pan Marcin, choć przyszedł przed wschodem słońca, z wielkiém zdziwieniem zobaczył statuetkę tak silnie do postumentu przymocowaną, że jéj w żaden sposób nie mógł poruszyć.—Próbował, mocował się, ale wszystko naprożno; aż go zdjął przestrach, czy czasem Chrystus Pan nie okazał cudu, aby nie służyć nadal za powód do tak lekkomyślnéj igraszki. — Uchylił więc czapki i szepcząc pacierz zabrał się z powrotem ku domowi, gdy nagle zobaczył z pośród żyta powstającego pana Wojciecha....

(d. n.)

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 2 (14) Января 1870 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar
w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.